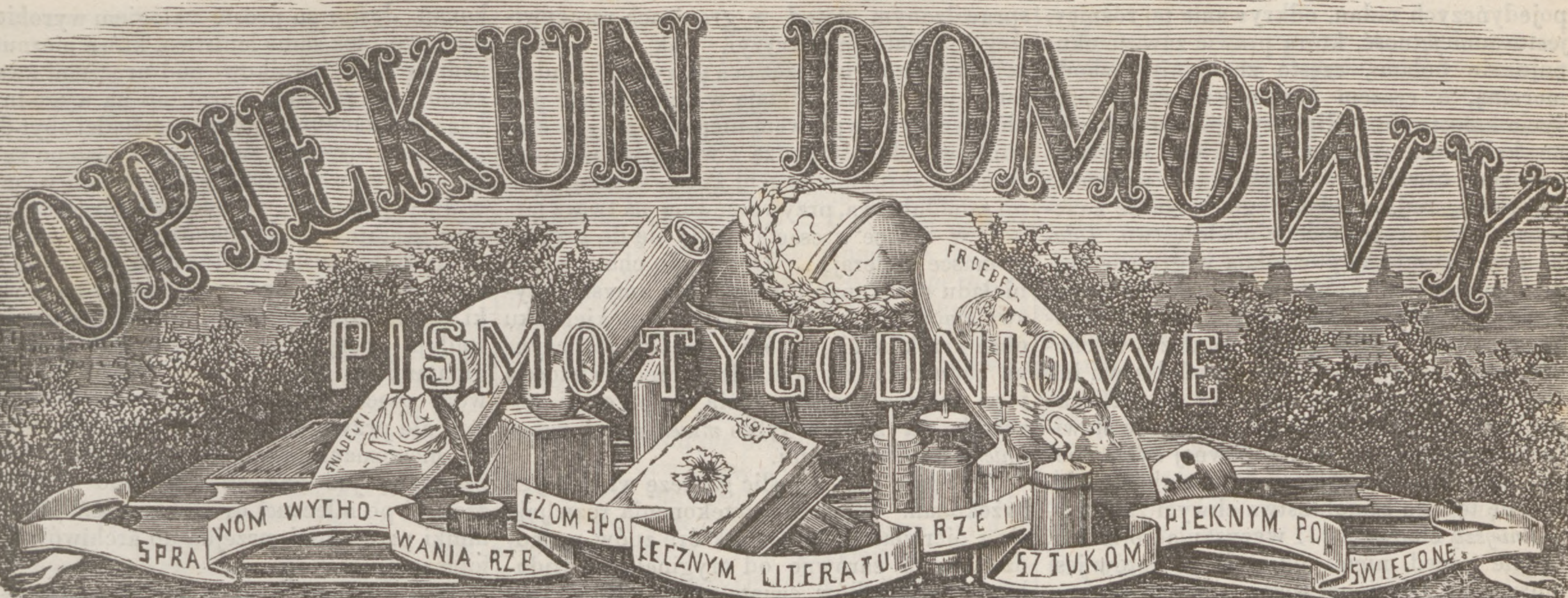
Nr. 2. Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-ia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie......... rs. 3 kop. 60	rocznie......... rs. 5
półrocznie...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	
miesięcznie..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Sroda.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

W KWESTYI PRZEKONAŃ.[1])

Wszelka myśl samodzielna a zdrowa, chociażby nawet nie była ostatecznie sprawdzoną i wyczerpująco umotywowaną, jest rzeczą godną szacunku, a jeżeli przeszła już przez próbę życiowego ognia i z chryzmatem prawdy na obliczu, ukazuje ludziom drogę postępu, jest rzeczą świętą. W pierwszym razie jestto hipoteza, myśl w porannym brzasku, jaśniejszy początek danego duchowej działalności peryjodu, w drugim—kwiat w pełnym rozwoju, myśl, która w krew przeszła, pewnik skałą rzeczywistości i dobrobytu sprawdzony, słowem *przekonanie*. Ileż różnobarwnych wspomnień budzi to słowo, ileż godeł i maksym za jego wymówieniem odradza się w pamięci! jakież mnóstwo bojowisk, targów, świątyń i kumirów zalega w jednej chwili widownią ducha! Bo też z tłumu zebranych, na wielkiej świata arenie, pod różnemi sztandary, jednostek i ludów, podnoszą się ciągle rzetelne lub udane, dźwięczne lub ochrypłe, poważne lub arlekińskie głosy, — a śród potopu cennych lub niewyraźnych słów, dzikich wykrzykników i niemowlęcych sylab, jedno tylko w końcu brzmi zgodne hasło: „oto nasze *credo*, oto nasze *przekonanie*." Gdyby nam przyszło pod wpływem tego chaosu, w ogólnym rysie ważne to słowo (przekonanie) określić, powiedzielibyśmy naturalnie, iż jestto myśl, która w danej chwili pojedyńczą jednostkę, lub całą grupę podobnych jednostek, spoczywającą w swym łonie potęgą, zniewoliła, podbiła, *przekonała*. Jakkolwiek bowiem przekonanie, najważniejszych kwestyi etycznych i umysłowych dotyczące, uważamy wyłącznie za własność zdrowego, dojrzałego i wykształconego człowieka, za pożądany owoc samodzielnej, długoletniej nad własnym rozwojem pracy, za wyraźne, ścisłe pozytywnym doświadczeniem określone studyjum postępu, to jednakże, przedsiębiorąc pobieżną choćby krytykę wszystkiego, co pod tym imieniem w organizmie umysłów ludzkich pulsuje i machiną czynów porusza, musimy brać pod ogólną uwagę, prócz właściwych przekonań, cały tłum bladych, kalekich i maskowanych mniemań, całą pstrociznę zasad, kierujących szczegółowemi poglądami i postępkami człowieka na wszystkich jego cywilizacyjnych szczeblach... Nikt nie zaprzeczy, że cały ogół mieszkańców naszej planety— od hotentota i obywatela wysp Sandwich (Sendwicz), do oświeconego niemca lub anglika, od przesądnego *autochtona* zakopanej w bagnach wioski, do poważnego profesora uniwersytetu, objawia, choć w bardzo różny sposób, swe stałe na rzeczy poglądy, swe dogmaty i przekonania.

„Jakim jest człowiek, takim i Bóg jego dlatego Bóg często parodyją się stawał" [2] powiedział kiedyś wielki poeta-myśliciel, ów jak go nazywają *poganin* Goethe; a to co wyrzekł, możemy bez ochyby zastosować do istoty chaotycznie uszczeblowanych przekonań ludzkich. Jakim jest człowiek, jaką jest wyraźniej mówiąc, skala jego oświaty i moralności, takiemi być muszą i ruchów jego motory, pulsujące w nim przekonania.

Ponieważ wszystko co nosi miano przekonań, ściera się ze sobą wzajemnie, ponieważ (na co szczególną zwrócić należy baczność) często dzięki formie, w jakiej się przedstawia dane mniemanie, pewna grupa umysłów nad innemi odnosi zwycięstwo, ważną zatym jest rzeczą przy rozpoznawaniu wytykanych przez różne jednostki drogoskazów żywota, zapytać się dokąd one wiodą i co jest pobudką czynnego ze strony apostołów działania. W zasadzie pytania leży bardzo naturalny podział przekonań na *szczere* i *udane*. Nic zapewne trudniejszego jak wierne, w praktyce

[1]) Artykuł ten zostaje w związku z drukowanemi w Opiekunie Dom. za r. 1872 p. n. „Przekonanie" i „O wyrabianiu się przekonań;" nie jest jednakże ich powtórzeniem. (*przyp. Red.*)

[2]) „Wie ist ein Mensch, so ist sein Gott; Darum ward Gott so oft zum Spott."

ŚLADY ŻYCIA.

II.

Tyle życia, ile... w czynie.

Stowarzyszenia żółwim idą krokiem—co się np. dzieje ze stowarzyszeniem prywatnych nauczycieli i nauczycielek? A przecież stowarzyszenie to na gwałt potrzebne. Że los guwernantki-nauczycielki prywatnej w niewesołych przedstawia się barwach, że życie tych pracownic nie jest bynajmniej różami usłane, któż na to się nie zgodzi? Że przecież istoty te zasługują bądźcobądź na ludzkie obejście, ludzką w danym razie pomoc i macoszyną choćby opiekę, któż tego również z majacych choć iskierkę ludzkiego poczucia nie przyzna? Tym potrzebniejsza tutaj pomoc stowarzyszenia, że sami chlebodawcy, którzy przecież patrzą na mozolną pracę nauczycielki, nie mogą jej ocenić i uszanować. Oto np. niedawno doniósł „Kuryjer Warszawski" iż jeden właśnie z takich panów—chorą guwernantkę *bez uprzedniego wezwania lekarza* wyekspedyjował do szpitala, szkoda tylko, że trochę zapóźno, bo na schodach... skończyła. O! szanowny panie, tak po ludzku traktujący ludzi! a cobyś też zrobił np.... z psem któryby przez parę lat pozostawał w twym domu?

* * *

I przedmieście Praga zyskuje z początkiem bieżącego roku łatwość kształcenia młodszej swej gieneracyi, tam bowiem przeniesiony został z Warszawy *Zakład naukowy prywatny* Jana Nepomucena Dureckiego. Jakim pedagogiem jest p. Durecki o tym już wiemy z dotychczasowej jego dziesięcioletniej pożytecznej działalności, życzyć tylko należy, aby mieszkańcy Pragi sercem i przekonaniem ocenili pracę człowieka, który prawdziwie ukochał dzieci i naukę—i aby szczerze dopomogli mu na drodze trudu, który w przyszłości stokrotne przyniesie owoce.

* * *

Ze sfery pożytków umysłowych zajdźmy na grunt stosunków i potrzeb materyjalnych i to na tym samym lokalnym terytoryjum. Skargi i lamenty na drożyznę mieszkań w Warszawie stały się już chlebem powszednim. Co się zaś tyczy Pragi, to tu już biedni lokatorowie w niebogłosy wołają. Dwa główne punkty naszych dróg żelaznych nagromadziły znaczną liczbę jednostek zmuszonych mieszkać nie gdzie indziej, jak tylko na Pradze. W miarę zaś rozwoju ruchu na kolejach a nadewszystko na drodze Terespolskiej jednostek takich i to w ogólności niezamożnych (znaczniejsi bowiem i lepiej wynagradzani urzędnicy mają mieszkania bezpłatne przy dworcach kolei) ustawicznie przybywa. A mieszkań a domów nowych czy przybywa również? Bynajmniej. To też monopol pp. obywali prazkich dochodzi już niepraktykowanych rozmiarów. Znamy właścicieli domów, którzy swym lokatorom systematycznie co miesiąc podwyższają komorne, a jeden z nich

pojedyńczych zadań, odkrywanie tej różnicy; jestto umiejętność, którą prawie zawsze okupuje się bólami, często znakomitą szkodą moralną, a czasem i nieuleczonym na całe życie kalectwem. Hipokryzyja—to rozmyślne kalectwo; poczęta z niskiego interesu i pozornej oświaty, w tymże ślubie rozmnaża się dalej, rodząc obok tego, w stadle z ciemnotą—idyjotyzm i ślepe niedołęstwo. *Udane* przekonania odpowiadają w gruncie *brakowi przekonań*, który w jadowitym swym rozkwicie kończy się obłąkaniem lub hipokryzyją. W czyjej głowie, podczas wychowawczego peryjodu, dzięki niedołęstwu lub złej woli pedagogów, skłóciły się rozliczne poglądy, a późniejsze okoliczności nie stawiły tamy bezładowi, ten w pewnej życia epoce, albo przedwcześnie zniedołężnieje, albo w imię tępego samolubstwa chwyci za *najpopłatniejszą* chorągiew i wyzyskując bliźnich, będzie przed niemi udawał, że gotów jest umrzeć dla bronionej sprawy. Życie praktyczne przedstawia nam w rozlicznym cieniowaniu przykłady jak tego, tak i owego losu. Obok zupełnego *pomięszania* przekonań, napotykamy w szrankach rzeczywistości liczne przechodnie stany, w których jednostka objawia jednoczeście i z równym często zapałem wprost przeciwne i wyłączające się nawzajem poglądy; są to poprostu przekonania zmiecone przypadkowo do nieszczęsnej głowy z różnych dróg i końców duchowego świata; żadna tam prawda spośród chaosu nad resztą nie zapanowała, żaden kwiat śród dzikiej nie wyrósł głuszy... P. Eliza Orzeszko, o czym już kiedyś na właściwym miejscu wspominaliśmy, odmalowała nam w „Pamiętniku Wacławy” żywy obraz takiego skłócenia i błyskawicznego krzyżowania się przekonań w postaci Rozalii, kobiety w gruncie może i dobrej, lecz z charakterem podobnym do korabiu bez steru i kotwicy. Inny znów sposród młodych a zasłużonych koryfeuszów powieści naszej, pan M. Bałucki odwzorował ze znakomitym talentem chorobliwy typ drugiego gatunku, w postaci hipokryty Kamila. Niezadługo we właściwej rubryce zastanowimy się bliżej nad tą kreacyją. Dziś niech nam wolno będzie tylko powiedzieć, iż ten *aktor-misyjonarz*, ta oryginalna a umotywowana odmiana molijerowskiego *świętoszka*, w całym szeregu swych dziejów najzupełniej odpowiada zarówno sprawdzonym dotąd w granicach rzeczywistego świata hipokryzyi, jak i powyżej wygłoszonym przez nas teoryjom. Ludzie tacy, jak Kamil, zostają w dzieciństwie pod chaotycznym wpływem niepogodzonych kierunków; młodość pędzą z wiankiem winnego liścia na skroni; w jesieni życia, w imię tępego samolubstwa, przywdziewają na twarz larwę; w masce wreszcie chylą się do grobu i w masce umierają... Drogę do chatycznego nieładu przekonań uściela sobie umysł, przyswajający tłumnie bez należytego kierunku obce przekonania, które, dopóki ich czynna jednostka nie sprawdzi z rzeczywistością i na własną monetę życia nie przetopi, pozostają na zawsze tylko *mniemanemi*, *pośredniemi* przekonaniami.

Ale czas już określić gienezę właściwych przekonań. Właściwe przekonania rozwijają się z pierwiastku wrażeń, które znów pochodzić mogą zarówno od oryginalnych widoków i wypadków świata rzeczywistego, jak od ich podobizn i wypracowanych przez innych ludzi poglądów. Wrażenia, odnawiając się, tworzą w umyśle niby zwierciadlane wizerunki zwane wyobrażeniami, które z jednej strony przez kombinacyją, z drugiej przez ustawiczne sprawdzanie się z rzeczywistością, przez ścisłą wreszcie krytykę zarówno wrażeń jak i ich stosunków, dochodzą powoli do godności przekonań. Takich elementarnych i szczegółowych przekonań każdy człowiek żyjący w średnio-przyjaznych warunkach, dosyć wcześnie tą naturalną drogą nabiera. Inaczej się jednak rzecz ma z bardziej złożonemi, ogólnemi, o których właśnie w naszym artykule mowa, przekonaniami. Na ich wyrobienie składają się całe lata i dziesiątki lat pracowitego żywota jednostek. Nad rozwiązaniem najwyższych zagadek pracują daremnie stulecia całe... Jednostki i ludy, rozwijając się koleją lat i wieków, dochodzą śród mozołów do pewnych ułamkowych i połowicznych przekonań; często nawet bezwiednie, zamiast rozwinąć, mroczną je okrywają szatą, aby potym prześcignione i porzucone, zostawić za sobą jako widma gorszej przeszłości... Pomimo to, jak w życiu ludów, tak i jednostek, obok prawa postępu daje się spostrzegać i warunkowe prawa zastoju, przywiązanie do starych wyrobów postępującego ducha, do zwietrzałych, ułamkowych lub nawskroś błędnych przekonań. Jestto po prostu nałogiem wyrobione lenistwo, toż samo lenistwo, które nieznużonemu jeszcze pątnikowi pod uroczemi zwaliskami na zielonej darni lub na wygodnym każe spocząć łożu. Stądto pochodzi zbyt długie zatrzymywanie się u stacyi postępu i chętne przyjmowanie rozwiewającego się we mgłę widma przesądu, za budowlę niespożytą, za mur granitowy. Przekonania więc właściwe są to tylko ściślej w pracowni własnego ducha wyrobione wyrazy poglądów na stosunki świata rzeczywistego, wyrazy, które jako stadyja postępu są wskaźnikami życia, dogmatami w pewnej danej umysłowego rozwoju epoce. Są one zatym względnie stałemi; ale przyszła, doskonalsza epoka może je do niepoznania zmienić, przerobić, a wtedy przestaną już one obowiązywać teraźniejszość i po mlecznej drodze marzeń, jako pomniki przeszłości, przejdą do archiwów dziejopisarza.

Wszyscy na kresach pielgrzymki naszej widzimy pewne ideały... Lecz zanim do nich dojdziemy, wiele ułud pryśnie, wiele dróg błędnych przyjdzie się nam wyrzec... nie jedno w dokonanych robotach trzeba będzie przerobić i naprawić, a ideał urzeczywistniony jakże może w końcu stanie się niepodobnym do śnionego dziś obrazu?..,

Starajmy się więc nie o jakieś granitowe, lecz o *sumienne*, *jasne* i *dokładne* przekonania. Przyjmując poglądy cudze, zarówno jak i tworząc własne, nie ufajmy formie, która je wprowadza, pytajmy o rzecz samę—o jej logiczną podstawę i etyczny pożytek. Szanując przeszłość, otrzepujemy troskliwie pleśń z szat naszych; pamiętajmy, że nie jesteśmy obywatelami żadnego z ubiegłych stuleci, że przekonania nasze winniśmy do ducha czasów bieżących, do potrzeb kraju naszego stosować...

NIEZNAMIEROWICE I STUDZIANNA.

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(Ciąg dalszy).

Epoka do której się odnoszą wypadki, jakie w lat kilkanaście później zaszły, należy

---

posiadacz dwu znaczniejszych posesyi postępuje w tym kierunku tak szybko że z mieszkań kawalerskich pojedyńczych pokoików a raczej „schowanek”, które jeszcze w Czerwcu r. z. „szły” po rs. 5 miesięcznie,—dziś pobiera po rs. 7. Podwyżka to więc jak widzimy nielada—a do czego ona dojść jeszcze może?! Doprawdy dla ludzi zarabiających grosz krwawo, dla całych zamieszkujących tu po największéj części, warstw biedniejszych zmuszonych walczyć o jutro — pytanie to więcéj jak przestraszające. I to tym więcéj że znikąd środków zaradczych nie widać. Prywatni bowiem przedsiębiorcy nie biorą się wcale do stawiania w téj dzielnicy miasta nowych budynków — a zawiązane już przecież towarzystwo budowlane?... no.... cierpliwości czekajmy!...

* * *

Do pracy! do nauki! oto hasło, które pomimo oporu zacofańców rozbrzmiewa coraz szerzej znajdując oddźwięk i w rzeczywistej życiowej praktyce. Myśli te nasuwają nam mimowoli pocieszające wieści o zakładaniu prywatnych progimnazyjów w miastach prowincyjonalnych. Niedawno czytaliśmy w którymś z pism o mającym powstać tego rodzaju zakładzie w Mławie, obecnie dowiadujemy się znów, że jeden z pedagogów Warszawskich ma zamiar otworzyć takież to jest prywatne progimnazyjum w Skierniewicach. Bodajby tylko wszystkie te zamiary co rychlej przychodziły do skutku, a byłby to najistotniejsze i pod pewnym względem, najpożądańsze „ślady życia.“ O ile bowiem naglącym było zwiększanie liczby gimnazyjów w Warszawie, o tyle nierównie może pilniejszym, a w każdym razie niesłychanie ważnym staje się otwieranie ich po różnych punktach prowincyi. I tam bo przecież żądza nauki, jakkolwiek zwolna, poczyna jednak przenikać, i na owych (zaniedbywanych długo przez opiniję), partykularzach, setki rodziców pragną swe dzieci kształcić; lecz niestety instytucyje te rozbijają się najczęściej o brak odpowiednich materyjalnych środków. Czyż zresztą średni np. urzędnik pobierający rs. 400, może na edukacyją dziecka w Warszawie lub innym jakim mieście wydawać minimum rsr. 300? Czy może koszt podobny ponosić małomiejski mieszczanin albo uboższy okoliczny obywatel ziemski, albo wreszcie jakiś postępowy i przeczuwający choćby potrzebę nauki nasz chłopek? Otóż owo upowszechnianie progimnazyjów prywatnych takiemu stanowi rzeczy najskuteczniej zapobiedzby mogło. I jak z jednej strony zyskałby tu znakomicie ogół, jak summa umysłowości zbiorniczej podniosłaby się znacznie, tak z drugiej znów, i trudy założycieli z czasem zwłaszcza, sowicie opłaciłby się mogły.

* * *

Karnawał!—ludziska się bawią! Bawią się wielcy i możni, bawić się też chcą maluczcy i.... biedni. Dla piérwszych atoli roztwierają się bogate, woniejące, świecące zbytkiem i przepychem salony prywatne lub resursy; dla drugich otwierają się także.... ale.... obdarte, brudne, cuchnące, z całym arsenałem demoralizujących swych wpływów.... knajpy, a między innemi otwiera im swoje gościnne podwoje i owo słynne karnawałowemi *balikami* Tiwoli, prowadzące naszę młodzież warstw średnich... po „pochyłości”. Oile słyszeliśmy piérwszy z owych balików—miał zrobić fiasco. Byłoby bardzo do życzenia by i następne, a tak szumnie zapowiadane—taż sama niespodzianka spotkała.

Z drugiej jednakże strony, biorąc rzecz ściślej, mimowoli nasuwa się pytanie, gdzie mianowicie młodzież tej kategoryi—jak np. kupiecka, rzemieślnicza i t. d., po ciężkiej całotygodniowej pracy, ma szukać swobodnego wytchnienia, wieczornej, karnawałowej przyzwoitej rozrywki? Szanowni, młodzieży tej przewodnicy, pp. pryncypałowie, podobne-

do najsmutniejszych w dawnéj Polsce. Kraj bezsilny, szarpany wewnętrzną niezgodą, która dzielny szlachecki naród do bratobójczéj walki prowadziła, nie mógł skutecznie obronić się przeciwko napaściom zewsząd cisnących się nieprzyjaciół. Szwedzi, Węgrzy, Kozaczyzna, plądrowali na wszystkie strony, zamieniając w kupy gruzów wspaniałe zamki, ludne miasta, szlacheckie dwory i kmiece ubóstwo. Mór, tak często wyludniający dawną Polskę srożył się wówczas z niesłychaną przedtym i późniéj gwałtownością. Śmierć, pustka i nędza wdarły się do kraju, który nie dawniéj jak przed laty pięćdziesięciu, należał do najbardziéj kwitnących w Europie. Palec Boży widocznie groził Polsce.

Wśród téj powodzi nieszczęść, Opoczyńskie niemniéj od innych okolic kraju ucierpiało. Gospodarowali tu Szwedzi po swojemu. Oddział ich, założywszy w r. 1656 obóz pod Drzewicą umocniony okopem, rozsełał po okolicy drobniejsze poczty, roznoszące rabunek i zniszczenie. Dopieroż padł strach na mieszkańców,—kto żyw, uciekał,—wynosił się albo do większych miast, albo na razie szukał z ludem wieśniaczym kryjówki w lasach. Wybierali Szwedzi bogatsze dwory, przepatrywali bramy miejskie, nachodzili kościoły, zabierając z nich srebra i wszelki sprzęt kosztowniejszy, ładowali nawet księgami i papierami wozy tak, iż oprócz tego co zniszczyli, oprócz przedmiotów drogocennych, które po większéj części szły na łup żołdactwa, oprócz wielu dzieł sztuki, które, o ile ocalały, wysełali do Szwecyi, mnóstwo ksiąg, szacowne zbiory dokumentów i całe archiwa wywozili. Wreszcie czego nie mogli zabrać, zawzięcie po barbarzyńsku puszczali z dymem.

Jedna z takich drapieżnych poczt naszła pewnego razu Nieznamierowice. Dwór możnego szlachcica, kościół, miasteczko, znęciły tych drapieżców. Ale kasztelan nie chciał się ich doczekać — uszedł wcześniéj z żoną i dziećmi,—co się ostało ze służby dworskiej lub czeladzi, na wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu poszło w lasy, dość że Szwedzi żywego ducha tu niezastali. Splądrowali miasteczko nie pomijając i kościoła, obrali do szczętu dwór, tak, iż nawet pozdejmowali ze ścian obrazy, zajrzeli do kaplicy z której wzięli ów piękny obraz Św. Rodziny, podpalili parę budynków i odeszli.

Była to jedna z setnych wypraw po okolicy tak, jak nie było prawie kąta w Polsce, któregoby Szwedzi w ten sposób nie zniszczyli. Do żywego dopiekało to szlachcie.

Odstępując Jana Kazimierza, a uznając Karola Gustawa królem polskim, zdawało się szlachcie, iż tanim kosztem się załatwi,—tymczasem pokazały się — i to wnet skutki owego błędu haniebnego. Choć nie rychło zaczął się w narodzie budzić duch oporu, a podniecony - już to dzielnością i szczęśliwemi obrotami Czarneckiego, już bohaterską obroną Częstochowy, duch ten wzmógł się nareszcie i spotężniał.

Wiadome są z dziejów losy téj walki, podjętéj przez naród już prawie ujarzmiony. Karol Gustaw przekonał się, iż jego plan podboju Polski, powzięty po pierwszych zbyt łatwych powodzeniach, niepodobnym był do urzeczywistnienia. Ani przymierza jakich szukał, ani propozycyje czynione przezeń podziału krajów Rzplitej owocu pożądanego dlań nie wydawały, — nie miał po temu sił odpowiednich. Wszedłszy do Polski w kilkadziesiąt tysięcy, nie znajdując prawie przeciwnika, któregoby potężnym zamachem w polu mógł zgnieść i zniweczyć, Karol Gustaw rozdrobił swe siły po znacznych przestrzeniach kraju niby zawojowanego. Szwedzkie przeto oddziały nie były bardzo silne i wojowały raczej srogością i gwałtami, jak rzeczywistą dzielnością i wojenną przewagą. Ale rozboje i gwałty podniecały właśnie szlachtę i lud do zbrojnego oporu—i kiedy po ustąpieniu na Szląsk Jana Kazimierza i zdetronizowaniu go, Karol Gustaw uważać zaczął wszystko za skończone, pomiędzy szlachtą zaczynał się dopiero ruch na dobre. Zewsząd zaczęły się podnosić zbrojne hufce i drobne oddziałki, które ustawicznemi pod jazdami szarpały Szwedów i trzymały ich prawie w oblężeniu.

Kiedy oddział szwedzki stanął obozem pod Drzewicą i plądrował po okolicy, szlachta naraz wymykać się stąd zaczęła, uchodząc z żonami i dziećmi gdzie kto mógł, w miejsca cokolwiek bezpieczniejsze. Ten i ów obejrzał przytym szablę, naprawić kazał kulbakę albo rządzik, spróbował pistoletów.

Zjawił się też niewielki hufiec polski, który przyciągnął z za Pilicy. Dopieroż ruch i krzątanina między szlachtą, kto młodszy, kto przy zdrowiu i siłach, biegł do swoich.

Mieszkał natenczas we wsi Osse młody szlachcic Stanisław Potrykowski, — miał lat dopiero 23, ale żonaty już [1]), krył się jak mógł z żoną, bronił i strzegł dobytku, uprowadzając go do lasu tuż zaraz po dziś dzień za gumnem rosnącego, — ale długo to trwać nie mogło. Wstyd było młodemu, kiedy inni ucierali się ze Szwedem, pilnować żonki i wałęsać tak po kryjówkach; posłyszawszy więc o swoich, daléj krzątać się po sąsiadach, jeździć nocami, z jejmością radzić. Nareszcie pewnego dnia, przywoławszy wyrostka jakiego miał do posługi i wyręczenia w ekonomice, kazał na duch szykować rynsztunek na dwa konie, sam opatrzył broń, odczyścił i wypróbował mosiężne pistolety, i nazajutrz, z panią duszką się pożegnawszy, ruszył do swoich samowtór z Kwinackim, czeladnikiem swym, jak wówczas służbę nazywano.

Tymczasem Szwedzi, stojący już jakiś czas pod Drzewicą, ruszyli się na Gielniów i ku Końskim. Tego potrzeba było naszym, łacniéj bowiem było zaczepić Szwedów w otwartym polu, niż dobywać się do nich przez wał i fosę, jakiemi ubezpieczyli się w obozie [2]). Wkrótce też pod wsią Kamieńskiem przyszło do spotkania. Padło zaraz rajtarów szwedzkich dość od strzelby, a jeszcze więcéj nacięto ich szablami, kiedy nie mogąc wytrzymać żwawego natarcia naszych, pomięszali się w szyku i zaczęli w nieładzie ustępować. Przepędzono ich trochę—wzięli nasi nieco rynsztunku wojennego, a nadewszystko odbili znaczne łupy, jakie Szwedzi ze sobą z rabunków prowadzili. Wśród popłochu, Potrykowski zapędziwszy się z kilkoma innemi za rajtarem, a nie widząc pachołka swego Kwinackiego, zawrócił na pobojowisko. Tam kilkunastu szwedów, pociętych i postrzelanych w piasku się przewalało, ale i naszych trochę legło. Bojąc się o Kwinackiego, szukać go zaczął i wynalazł około wozów przez Szwedów porzuconych. Uwijał się wraz z drugiemi wpośród zgiełku i ciżby — były to bowiem wozy ładowne zdoby-

[1]) Miał za sobą Marcyjannę z domu Glinieckę.

[2]) Potężny okop szwedzki stoi dotąd po za Drzewicą ku Brzostowcu. Niezbyt dawno, przy rozkopywaniu go, znaleziono kule, ostrogi i t. p. szczątki obozowiska przez Szwedów tu założonego.

---

mi rzeczami, mimo nawoływań prasy, nie zaprzątają sobie przecież swych głów myślących (?); resursa kupiecka dla młodzieży handlowej i kantorowej? ależ toż to „za wysokie progi". Gdzież więc młodzież ta ma używać uprzywilejowanych rozrywek karnawałowych? gdzie ma się bawić? nie posiadając swego właściwego towarzyskiego ogniska? Ha... naturalnie, w piérwszej lepszej tancbudzie (chciałem powiedzieć w Tivoli). Mówiono co prawda i pisano nawet o „nowej resursie"—zapowiadano również resursę rzemieślniczą, dotychczas jednak urzeczywistnienia obietnic tych—jak nie widać tak nie widać. A doprawdy czasby już było zobaczyć się z niemi nareszcie.

* * *

W N-rze 52 *Tygodnika Przemysłowo-Handlowego* spotykamy dla przemysłowców i w ogóle kapitalistów nader interesującą wiadomość. Mianowicie, że w dobrach Domaniowice powiecie Olkuskim, w odległości 14 wiorst od stacyi (Dr. Żel. Wied.) Zawiercie, na przestrzeni 68 morgów, w znacznej głębokości, odkryto łomy kamienia, który według opinii znawców w niczym ma nieustępować łomom bawarskim w Solhofen i może być użytym do budowy chodników, jak niemniej na wyroby nagrobków, figur i t. p. Odkryto tam także pokłady glinki ogniotrwałej a nawet „jak niektórzy utrzymują" fajansowej. Niezależnie zaś od tego w majątku rzeczonym znajdują się pokłady rudy żelaznej, i „prawdopodobnie" węgla kamiennego. Lecz co ważniejsza, to majętność ta obejmująca 18 włók przestrzeni oddaną jest całkowicie na sprzedaż komisową na mocy aktu rejentalnego, o czym też dowiedziawszy się nasi *najserdeczniejsi* zachodni sąsiedzi, kręcą się około jej kupna. A my cóż na to? zapytuje Tygod. Przem Handl.: „Czy poprzestaniemy na samej jedynie wiadomości o nowym źródle kopalnianego przemysłu i na równi z innemi skarbami olkuskiej ziemi mamy oddać go niemcom?! Nie chcielibyśmy ani na chwilę przypuszczać że tak w rzeczywistości się stanie." Zapewne; i my nie chcielibyśmy czemuś podobnemu wierzyć A jednak.... Czy spomiędzy *naszych* pp *dzisiejszych* możnych dzisiejszych potentatów pieniężnych znajdzie się ktoś, ktoby skarb ten nowy zarówno dla kraju jak i dla własnych zysków zechciał zabezpieczyć od przejścia w ręce obcych przybłędów? Gdybyż to nasi milijonerzy mniej byli zajęci szybko-obrotowemi spekulacyjami, gdyby inaczej i głębiej pojmowali swoje obywatelskie zadanie, wtedy może, jak w wielu innych razach tak i w tym nie wydziedziczlaiby nas niemcy?

* * *

Któż z ludzi, posiadających choćby najprostszy zmysł ekonomiczny nie ocenia fatalnego wpływu—na byt nasz materyjalny, rozlanéj po kraju całym a w szczególności po miastach i miasteczkach prowincyjonalnych owéj drobnéj *faktorsko-handlowéj* kasty? Dzięki to téj po największéj części pasożytnéj warstwie, setki partykularzy naszych nie są w stanie wydobyć się z ugniatającéj je a patycznéj niemocy.. —Cały więc handel prowincyjonalny jest wyrazem anomalii polegającéj na wyzyskiwaniu i niecnéj spekulacyi pokątnéj, a cały obszar naszych ekonomicznych możliwych na tym polu korzyści—idzie *na marne.* To też nie dziwnego ze w ostatnim zwłaszcza czasie zarówno prasa jak opinija publiczna palącą tą sprawą zainteresowała się żywiéj i że, co ważniejsza—zajęcie się to jakkolwiek niedość wybitnie, prowadzi jednak do rezultatów praktycznych. Świeżo bowiem dowiadujemy się że w Brześciu (ważnym dziś punkcie handlowym) ma być założonym i zarządzanym odpowiednio do potrzeb miejscowych, kantor informacyjno-komisowy w celu załatwiania pośrednictwa w stosunkach kupna i sprzedaży, w ekspedycyi towarów

czą i pełne najrozmaitszych rzeczy z rabunku pochodzących. Każdy się przeto do nich cisnął i rwał co się dało; — byli tacy którzy i swoję własność poznawali. Wnet przeto wozy się wypróżniły, tak, iż nie było co wybierać i Kwinacki niebardzo się obłowił, ale rzuciwszy okiem na stronę, dojrzał leżące wśród kurzu na ziemi dwa obrazy, które ktoś w pośpiechu wyrzucił, czego innego wyszukując.—„Wezmę“—pomyślał, i widząc że pan właśnie w tę stronę dąży, zdobycz takową mu okazał. Jeden z obrazów był portretem króla Jana Kazimierza, drugi owym pięknym obrazem Św. Rodziny ucztującéj, który Szwedzi wzięli z kaplicy, podczas rabunku w Nieznamierowicach.

Pogoń za Szwedem nie była zbyt daleką; zgromadziwszy się pod chorągiew hufiec polski, pociągnął na dalsze boje, a ci ze szlachty którzy mieszkali w pobliskości, zdobycz przypadłą na każdego, przez czeladź do domów odesłali.

Tym sposobem dostał się ów obraz Starołęskich w posiadanie Potrykowskiego.

Zaczęła szlachta powracać do swoich siedzib i rozpatrywać się po zgorzeliskach,—wrócili i Starołęscy do Nieznamierowic, do pustych, porozwalanych komnat, gdzie wszystko zastali zrabowane lub zniszczone,—a najboleśniejszą dla nich ze strat, było zniknięcie z kaplicy pokojowéj wzmiankowanego obrazu.

Wypadło niedługo jakoś kasztelanowéj być w majętności swéj Studziannym. Może się rozniosła pomiędzy ludźmi wieść o zdobyczy Potrykowskiego, może posłuchy o obrazie doszły kasztelanowéj, dość że po drodze zajechać kazała do Ossego, do młodych sąsiadów Potrykowskich. Był to dla nich nie byle jaki honor przyjmować kasztelanowę, która urodzeniem i stosunkami nie miała równych w okolicy. Przyjęli ją z atencyją niezwyczajną;—ale wśród powitania, kasztelanowa tylko co spojrzała przez uchylone drzwi do sypialnéj komnatki Potrykowskich, kiedy z wielkiem zaraz poruszeniem krzyknęła:

— Chryste Jezu — co ja widzę? — wszak to nasz obraz tam na ścianie!

Zmięszał się trochę Potrykowski, bo wiedział skąd obraz wyszedł i o tym żonie mówił, ale uważał go za swój, więc trochę żywo odrzekł:

— Miłościwa pani kasztelanowo, to obraz mój, — nie z domu waszego ja go wziąłem, alem go dobył u nieprzyjaciela na polu bitwy.

Obie strony w drażliwym znalazły się położeniu,—ale sprawę wzięła na siebie Potrykowska — i obraz tegoż samego dnia jeszcze wrócił do Nieznamierowic na dawne miejsce, ku wielkiéj radości Starołęskich.

Niezadługo Starołęscy, nie wiadomo dla jakich powodów, opuścili na zawsze Nieznamierowice. Prawdopodobnie stary ich dwór zanadto ucierpiał w czasie napadu Szwedów, —wynieśli się więc do Studziannego, majętności kasztelanowéj, gdzie już w roku 1660 na dobre zamieszkali. W owym to czasie bywał w Studziannym Pasek, autor tak bardzo cenionych pamiętników; i opowiedział parę szczegółów o wesołym i gwarnym życiu, jakie tu—mimo dość podeszłego wieku Starołęskich—prowadzono. Jejmość, to jest kasztelanowa, miała przy sobie siostrzenicę, pannę Przyłuską; o tę starał się Michał Łabiszowski, w którego komendzie, przeszło sto koni wynoszącéj pozostawał Pasek—i z nią tu bywał. Bawiono się, tańczono, zjeżdżali się tu panowie Potrykowscy, Radziątkowscy. Kasztelan utrzymywał harmoniję i był jednaczem zwad w tym licznym i pełnym burzliwego życia towarzystwie [1]). Około r. 1663 umarła kasztelanowa, a w kilka lat po niéj i kasztelan życia dokonał.

Późniejsze dzieje Nieznamierowic zupełnie nam są niewiadome,—tylko z wizyty kościoła, na rozkaz prymasa Poniatowskiego w r. 1790 dopełnionéj, dowiadujemy się o zupełnym już upadku tego miejsca,—już bowiem wówczas przestało być miasteczkiem. Wygasł też i ród Starołęskich, gdy po Albrychcie pozostała jedna tylko Zofija Anna, która w stanie panieństwa zmarła po r. 1705.

Przechodząc z rąk do rąk, Nieznamierowice około r. 1760 były własnością Filipa Neryjusza Szaniawskiego, starosty Kąkolownickiego, właściciela Drzewicy i Gielniowa, — w roku zaś 1710 należały do Urszuli z Morsztynów Dębińskiéj, starościny Wolbromskiéj. Nareszcie w wspomnionéj wyżéj kościelnéj księdze, zapisana jest pod r. 1804 wiadomość o spaleniu się zupełnym Nieznamierowic, przyczym spłonęła także plebanija z resztą zabudowań, a dokumenty kościelne wraz z aktami parafijalnemi po r. 1798 uległy tak samo zniszczeniu zupełnemu.

1) Pasek, wyd. Wileńskie z r. 1861, str. 110.

II.

Dworek w Kamiennéj Woli, setkę lat conajmniéj pamiętający, przysiadłszy u stóp potężnéj lipy, szczytem wygląda ku drodze, dwoma rzędami wyniosłych topól ocienionéj. Tą drogą prowadzącą od Odrzywoła ku Studziannemu, w przeddzień każdego większego święta Matki Boskiéj, zdążają wózki, ciągną piesi i liczne kompanije z chorągwiami i krzyżem na czele. Ileż razy, zasiadłszy w otwartym oknie mego dworku, słuchałem chóru, pobożnych pieśni, brzmiał on potężnie przechodząc mimo okien i potém słabł w oddaleniu, wznosząc się z wonią topól i kwiecia gdzieś wysoko, do stóp Maryi.

U krzyża za wsią stojącego zatrzymała się pobożnych gromadka, pochyliły się chorągwie ku czci Ukrzyżowanego, umilkło pienie, i lud w modlitwie, na kolanach, przed Panem ukorzył się. A potém szedł znów śpiewając, przez pola wsie i lasy, po których i echo dalekie, także poniosło cześć Maryi. *(d. n.)*

Z ŻYCIA POETÓW.

(Dokończenie.)

Bürger w towarzystwie zbierającym się u Leonharta czuł się jak w domu. Pociągała go niezepsuta naturalność, serdeczne usposobienie tych bezpretensyjonalnych ludzi. W uroczystościach domowych brał czynny udział, pisał dzieciom powinszowania, pannom zwijał bukiety, ojcu towarzyszył na polowaniu, przy kartach i przy winie—słowem był wszystkim, czym inteligientny kawaler na partykularzu być może i umie. Z panien podobała mu się szczególniej jedna, nazwiskiem Do-

---

i t. p. Że tego rodzaju instytucyje handlowe urządzone w sposób racyjonalny—na ograniczenie nadmiaru pośrednictwa najskuteczniéj wpłynąćby mogły, łatwo pojmie każdy, ktokolwiek z ustrojem téj natury prowincyjonalnych stosunków, choćby powierzchownie jest obeznany. Życzyćby więc należało — by kantory podobne znalazły się corychléj—w każdym większym przynajmniéj miasteczku.

* *

O potrzebie muzeum przemysłowego pisano już u nas. I w rzeczy samej jeżeli kiedy to dziś zwłaszczcza, wobec budzącego się w ogólności ruchu przemysłowego, instytucyja tego rodzaju przydałaby się wiele. Instytucyja bowiem taka jak z jednej strony staje się dzielnym bodźcem wytwórczego przemysłu, ujawniając praktyczny w tym kierunku postęp, tak z drugiej znów, wytwory nasze na wystawie tego rodzaju, wjedno nagromadzone miejsce, znaleźćby mogły pewną dla siebie, że tak powiemy, uczciwą reklamę i tym trwalszą rękojmię zbytu, mianowicie na rynkach Cesarstwa. To też z przyjemnością dowiadujemy się, że pp. Michał Krysiński i Karol Szokalski, wkrótce już w biurze techniczno-ekonomicznym, wystawią na widok publiczny znaczną ilość praktycznych przedmiotów z pola różnych gałęzi przemysłu nagromadzonych. Jeżeli się nie mylimy, będzie to zapewne owa proponowana już uprzednio nieustająca wystawa płodów naszego przemysłu, która przy umiejętnym jej urządzeniu, oddać może rzeczywiste usługi o jakich mówimy.

* * *

Dowiadujemy się iż p. Józef Bliziński autor, z powodzeniem przedstawionych w roku zeszłym komedyi: „*Marcowy kawaler, Chleb ludzi bodzie* i *Przezorna Mama*“, przed paru tygodniami oddał Dyrekcyi Teatrów Warsz nową dwuaktową komedyją p. t.: „*Wilk w baraniej skórze.*“ Zapewniano nas, że sztuka ta pod względem budowy i treści stoi nawet wyżéj od poprzednich. Tak więc p. B. w krótkim bardzo czasie dał nam cztery komedyje. Dowodzi to niepośledniej twórczości autora i usilnej jego pracy, a dla literatury dramatycznej jest tym więcej pożądanym, że jakość szczęśliwie odpowiada ilości.

* * *

Wśród noworocznéj powodzi przeróżnych prospektów i prospekcików, pojawił się prospekt pisma humoryst.-satyrycznego „*Kolców*“, zapowiadających swą reformę w głowie, członkach i zasadach. Kto pojmuje znaczenie i stanowisko tego rodzaju organów, ten przyzna niewątpliwie o ile owa nietylko zapowiadana, lecz poniekąd już i przeprowadzona reforma „Kolców“ była pożądaną. „Nie zaciągamy się — czytamy w prospekcie —pod sztandar żadnego wyłącznego obozu, —szanować będziemy szlachetne dążności gdziekolwiek one się pojawią,—na chorągwi naszéj wypisujemy tylko: dobra wola i postęp“. Hasło to nie potrzebuje komentarzy, a wchodzące w skład redakcyi świeże i zdrowe siły dają nam rękojmię, że dewiza taka wiernie i stale towarzyszyć im będzie,—że tym sposobem „Kolce“ staną się pismem szerokiej poczytności.... istotnego pożytku.

* * *

Trupa wędrowna! teatr prowincyjonalny! Jakże wiele z domorosłych krytyków wymawia te wyrazy z rodzajem szyderstwa i lekceważenia. A jednak, kto wie, czy owe uwijające się po różnych zakątkach kraju teatrzyki, nie mają w gruncie rzeczy doniosłéj cywilizacyjnej missyi. Teatr ma ją wszędzie, ale w wielkich miastach jest jeszcze zorganizowanych wiele innych czynników oświaty i uobyczajenia; natomiast w małym miasteczku, w zacieśnionéj atmosferze partykularza, mały teatrzyk stanowi do pewnego stopnia i dla niektórych zwłaszcza warstw miejsco-

rota. Byłato ładna, siedmnastoletnia dziewczyna, o rysach delikatnych i regularnych, małego wzrostu, wesołego a jednak rozważnego umysłu, łagodnego, cokolwiek może flegmatycznego charakteru. Czytała chętnie i dużo, mianowicie romanse i dramaty; co więcej sama nawet składała niekiedy niebrzydkie wiersze. W kilka miesięcy po zapoznaniu się, Bürger pokochał ją i oświadczył się. Przeszkód żadnych być nie mogło; odbyły się zaręczyny. Wtedy Bürger przeniósł się już z Gelliehausen, ze smutnego domu biednej obłąkanej i zamieszkał w Niedeck. Proponowano mu korzystne miejsce, byle tylko dwa lata wstrzymał się z ożenieniem;—odmówił. Dla entuzyjastycznego młodzieńca wydawało się to niepodobnym do zniesienia; dwa lata oczekiwania! a za nic w świecie—choćby o głodzie i chłodzie, lubą mieć musi...

„W objęciach dziewczyny, która mię *na wieki* jeńcem swym uczyniła—pisał on do tego, co mu owo korzystne miejsce ofiarował—odpowiadam na list pański. Gdybym na *tron cesarski*, a nawet *do raju* był powołany, powstrzymałoby mię to ramię, co mię teraz otacza, i nie posłuchałbym wezwania. Swiat ma dla mnie, jak dla owego kochanka, którego dzieje opisał nam Rousseau, dwie tylko części: tę, gdzie *ona* jest—i tę, gdzie *jej* niéma. Tamta jest niebiańską salą radości, ta ponurym padołem płaczu. Ja miałbym być jeszcze przez dwa lata mojej słodkiej dziewczyny pozbawiony? To byłoby pełną niepokoju wiecznością. Niech więc zapadnie zasłona i zakryje przed memi oczyma perspektywę szczęścia i zaszczytów....“

Spółcześnie pisał do przyjaciela Boie: „Czy wiesz mój drogi, żem tu zaczłapał? Prawdopodobnie stujęzyczna wieść musiała i dla tej historyjki mieć jeszcze jeden swobodny języczek. Widzisz, mój najdroższy Boie, musiałem wreszcie i ja spłacić dług naturze i zakochać się—aż do ożenienia. Ach, otóż nadchodzi kochanka moja, którą serce moje ze wszystkiemi jej zaletami i wadami, taką jak jest, kocha nadewszystko w świecie szerokim i dalekim. Niech sobie dla innych niczym nie będzie, dla mnie jest wszystkim....”

Bürger tak się czuł uszczęśliwionym pełnią rzeczywistej miłości, że każde słowo i pieśń każda w porównaniu z nią nędznemi mu się wydawały. Przyjaciele spodziewali się, że muza Bürgera, podniecona miłością, wzleci wyżej niż przedtym. „Czyż miłość—pisał do niego z wyrzutem Boie—nie natchnęła cię do żadnej pieśni? Tyś powinien ogniście miłość opiewać—albo już żaden poeta tego niezdoła! Wiesz przecież.

Il faut n'écrire des vers amoureux
Que sous les yeux de sa maitresse....

Zapytaj tylko swojej dziewczyny, czyby nie chciała mieć takiej pieśni?” Bürger odpowiedział na to: „Kochany mój Boie, będziesz to zapewne uważał za rzecz całkiem naturalną, że obecnie codzieńbym chciał pisać i jechać do ciebie do Getyngi, a jednak ani jednego ani drugiego nie uskuteczniam. Jeżeli tak dalej pójdzie, to *umrę dla muz, dla przyjaźni i dla całego świata*, ażeby tylko miłości być posłusznym. Teraz kochać tylko potrafię: kochać przy ocknieniu się, kochać przy obudzeniu się, kochać w sennych marzeniach.... Wierszy nie chcę i nie mogę obecnie robić. Wszystkie myśli ulatują z dymem, a rymu tak mi trudno dobrać, że zdaje mi się, jakoby w całym świecie nie było dwu słów, któreby się ze sobą rymowały.”

Bürger nie długo czekał na spełnienie swych najgorętszych życzeń. W tym samym roku, w którym się zaręczył t. j. w r. 1774, odbyło się wesele. Małżonkowie żyli szczęśliwie. Poeta odzyskał na nowo mowę bogów; napisał „Nowe życie” (Das neue Leben), gdzie potęgę miłości, co go z bogami zrównała, odrodziwszy go w zupełności, opiewa z zapałem, z wylaniem się i z tą niepokonaną siłą pewności, że jak jest teraz, tak na wieki pozostać musi.

Szczęśliwe złudzenie! Dawało mu ono choć chwilę niczym niezamąconego spokoju, rozświetlało horyzont wdal i wszerz bez chmur, jasny, tęczami tylko tu i owdzie ubarwiony. W złudzeniu szczęśliwi byli—o jutrze myśleli niewiele....

Jutro jednakże o nich myślało. Urodziło się dziecko. „Żona i dziecko są moją całą i jedyną radością”—pisze Bürger, a w tymże czasie pyta się Boie'go: „Powiedz mi, przyjacielu, jak się wziąć do tego, ażeby *żyć szczęśliwie*, t. j. ażeby na swoje potrzeby *mieć pieniądze*? Pluć na to błyszczące błoto!—ach to nic więcej *jak moralne, poetyczne niedorzeczności* (moralische, poetische Albernheiten)! Zapewne, niektórzy przy zbytku mogą być nieszczęśliwemi; ale daleko więcej niedoznaje szczęścia przy braku. Ja np. nie rozumiałbym, coby to mogło komu zaszkodzić, gdybym pozbywszy się długów, miał poddostatkiem na swoje — z pewnością niewielkie— potrzeby.” Nie pomogło i poetyczne otoczenie mieszkania, w którym młoda para przebywała; ani olbrzymia lipa, ani duży ogród z basenem, w którym pływały złote rybki, ani zwaliska starych zamków, którym można się było przyglądać z ogrodu w noc księżycowej promieniami oświetloną, ani wielkie góry i wzgórza, niknące w dali jak cienie w swej szarej tajemniczej opończy.... Piękneto są rzeczy! zachwycające widowiska, gdy potrzeby codzienne są zaspokojone, gdy umysł swobodny i wesoły, gdy serce marzeniom bez obawy oddawać się może... W półtora roku po ożenieniu się, Bürger z tego poetycznego mieszkania, przeniósł się do domu wiejskiego w Wöllmershausen, ocienionego kilku drzewami. Chatynka ta drewniana, niziutka, słomą pokryta, zaciszna, nadawała się do spokojnej sielanki, do sprawdzenia słów poety:

Dla kochanka i kochanki
Dosyć chatki pustelnika!...

Tymczasem sielanka piérwszej miłości chyliła się już ku rozwiązaniu. „Wieczny jeniec” zaczął powoli zrzucać pęta, które go przez półtora roku krępowały; zaufanie, a co więcej pewność w „nieskończony szereg chwil” wypełnionych miłością Dosi, zdawały się dla poety zanurzać już w niecofnioną przeszłość, zapał zaczął stygnąć, rozmarzenie rozwiewać się. Ach, może po rozmarzeniu nastąpi przebudzenie się do życia rzeczywistego, do obowiązków męża i ojca; może zamiast miłości, wystąpi przyjaźń, która wprawdzie nie zdoła zapełnić serca 19-letniej kobiety, ale je choć w części uspokoi, dając wzamian ubóstwienia—przynajmniej szacunek i szczęście rodzinne.

Nie! takie przebudzenie, dla poety romantycznego byłoby śmiercią duszy, śmiercią wszystkich pragnień i uniesień, które stanowić miały jej istotę. Jeżeli poeta budzi się z romantycznego rozmarzenia, to dlatego zazwyczaj, ażeby zapał swój o kilka stopni podnieść i w nowym niekiedy przepisami moralności zakazanym uczuciu, szukać wynagro-

---

wych alfę i omegę cywilizacyjnych, uszlachetniających wpływów. Jak więc z jednéj strony teatrzyki prowincyjonalne zasługują ze wszech miar na poparcie intelligentniejszéj publiki miejscowéj, tak z drugiej znów i pp. przewodniczący owym wędrownym truppom, staraćby się powinni o zjednanie sobie stałéj sympatyi miejscowego ogółu, o pociągnięcie ku sobie publiczności odpowiednim doborem sztuk. Zasada ta jakkolwiek ogólnikowo streszczona zdaje się jednak być prostą i logiczną. O ile atoli pomijaną ona bywa w praktyce, oto jeden z pomiędzy wielu przykładów:

Podczas wycieczek w Podlaskim, bawiąc przez parę dni w Siedlcach, mieliśmy sposobność spotkać się bliżej z goszczącą tam obecnie truppą p. Modzelewskiego. Znając zaś już uprzednio ustrój tamtejszego towarzyskiego życia, wiedząc raczéj na ile to tam, jak w każdym zresztą partykularzu, życie to rozpada się koteryj i koteryjek, sądzimy, że wśród takich warunków towarzyskości, wśród braku wszelkiej ogólniejszéj spójni moralnéj i szlachetniejszych rozrywek, publiczność miejscowa tem silniej, bo z naturalnéj niejako potrzeby, popierać musi swoją małomiejską scenę. Tymczasem z paru rzuconych w tym względzie zapytań, przekonaliśmy się odrazu, że jak cały patrycyjat siedlecki lękając się o sprofanowanie swego artystycznego smaku, ośmieszać jedynie potrafi usiłowania truppy, jak miejscowe gwiazdy, zamiast udzielania odpowiednich rad i ujawniania życzeń co do wyboru sztuk — obsypują jedynie wybór ten dowcipnemi, podług nich, epitetami,—tak znów i pan dyrektor nie uwzględnia zbytecznie ani znaczenia ani stanowiska tego rodzaju sceny. Byliśmy (w ostatnich dniach Grudnia) na dwu przedstawieniach. Na jednem dawano *dramat „Błąd młodości“*, na drugiem ujrzeliśmy „wielką melodramę“ w *siedmiu* aktach p. t. *„Czaszka mordercy, czyli nauka Galla“*. W téj ostatniej sztuce—obok braku jakiejkolwiek przewodniej myśli, widzieliśmy same jedynie tragiczno-awanturnicze sceny, samych oniemal średniowiecznych bandytów, widzieliśmy „okropną noc“, „okropnego gościa“ (tytuły aktów pojedynczych), i tym podobne same.... okropności“. Pytamy się jednak do czego produkowanie tych „okropności w rezultacie prowadzi? Oto większość publiczności, któraby rada widzieć rzeczy rodzime swojskie np. komedyjki, zniechęca się do odwiedzania teatru, jak i teatr znów nie może wzmódz się na siłach i pozyskać trwalszéj rękojmi bytu. Że w takich warunkach znaczenie teatrzyków prowincyjonalnych równać się musi znaczeniu zera, zbyteczném byłoby dodawać. A czy tak być powinno? czy zarówno intelligentniejsza publika jak pp. dyrektorowie, nie powinnyby dążyć tu do zaprowadzenia stałej jakiej i odpowiedniéj reformy?—Potrzebujemyż się pytać?

* * *

Płody rzemieślniczéj i w ogóle przemysłowéj produkcyi znajdą dla siebie trochę miejsca na mającéj się u nas odbyć w r. b. wystawie rolniczéj, na co zwracał szczególniejszą uwagę, swych zeszłoniedzielnych słuchaczów, p. Makowiecki. Szanowny prelegent przedstawił wogóle wystawy jako jeden z najpraktyczniejszych sposobów zastąpienia dawnych wędrówek rzemieślniczych. Za inne czynniki, prowadzące do postępu rzemiosł, uważa p. M. słusznie odczyty i czasopisma specyjalne.

* * *

Mówiąc o odczytach zaznaczyć musimy dwie prelekcyje p. Dziewulskiego „o analizie spektralnéj“, odbyte w zeszłym i zaprzeszłym tygodniu w sali resursy obywatelskiéj. Odczyty te wypowiedziane z właściwą panu D. popularnością a zarazem gruntownością, poparte nadto zajmującemi doświadczeniami, gromadziły bardzo wielu słuchaczów.

dzenia za doznane *zawody*.... Bürger przebudzony, głośnym wołaniem rzeczywistości rozkochał się w siostrze swej żony, w owej często opiewanej „Molly.”

O leczniczych i ochronnych środkach domowych przeciwko chorobom.

Podług D-ra i Prof. Bocka

NAPISAŁ

Stanisław Wojciech Łukowski.

Oprócz lekarstw, otrzymywanych z apteki, są i inne wyborne środki lecznicze. O tym śmiało możemy zapewnić czytelnika, dodawszy, bez żadnej przesady, iż większa część środków aptecznych nie odznacza się wcale siłą leczniczą. Rozumie się, pomijamy już to, że wszystkie lekarstwa homeopatyczne, nie wyjmując tych, co są połączone z żywotno-magnetyczną siłą i tym sposobem posiadają niby większą skuteczność, równe są zeru, t. j. nie mają żadnego znaczenia. Tylko zgodne z przyrodą środki domowe, bywają skuteczne i leczą większą część stanów chorobowych; chorzy i niedouczeni, aczkolwiek zarozumiali lekarze, prawie zawsze w najniesprawiedliwszy sposób zaprzeczają im siły leczniczej i przypisują ją jakiemuś innemu, w tym samym czasie użytemu środkowi aptecznemu, chociaż ten zupełnie jej nie posiada. Dzieje się tu wogóle toż samo, co przy kąpielach i wodach mineralnych, gdzie korzyść osiągnięta przez chorego w skutek umysłowej i duchowej spokojności, cielesnego ruchu, światła i powietrza, wody i pokarmu, zazwyczaj przypisywaną bywa pewnym lekarstwom (solom, siarcz., żelazn., kwasowi węglanemu i t. d. zawartym w wodzie). Podróże do wód, dla tego mianowicie tak niewielu osobom przynoszą ulgę, że większość chorych, poczytuje podczas kuracyi picie wody i kąpiele, za ważniejsze od zachowania przepisów dyjetycznych. Gdyby zamiast głośnego zachwalania jakiejkolwiek kąpieli przez tych, którym ona napozór pomogła, podnieśli swój głos ci, którym taż sama kąpiel wyświadczyła wielką szkodę, wtedy zapewne, na postrach lekarzy znajdujących się przy wodach mineralnych, odwiedzanie takowych, wkrótceby całkiem ustało i ustąpiłoby miejsca odpowiedniej kuracyi dyjetetycznej, którą, zaiste, najlepiej i najwygodniej byłoby odbyć przy źródłach mineralnych.

Za lecznicze środki domowe uważamy, nie zalecane przez owczarzy i kowali lekarstwa, ani wyjęte z poradnika ciotek przepisy, lub kosztowne tajne środki szarlatanów, jak korzenie, zioła, soki, eliksiry, balsamy, plastry, elektryczne i magnetyczne łańcuchy i pierścienie, talizmany, zamówienia i t. p. kuglarstwa, lecz takie środki, których nie ma w aptece, a które pomimo to, są bardzo pożyteczne w chorobach i mogą być używane przez niespecyjalistów przy tym, lub innym cierpieniu, bez żadnej porady lekarskiej. Do takich środków domowych należą: *woda* w postaci zimnej i gorącej, używana zewnętrznie i wewnętrznie, okłady (kataplazmy), *tłuszcz, ciepło, nacierania* i *naciskania*, pewne *ruchy* i t. p. Lecz ze wszystkich środków domowych, o leczniczym działaniu których będziemy tu mówić szczegółowo, największy zaszczyt, a więc i pierwsze miejsce przypada dla świeżego łoju wołowego lub baraniego; o nim też najprzód podamy swe wskazówki.

(*d. c. n.*)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kielce 27-go Grudnia 1873 r.

Znając dobrze spokojny i pojednawczy charakter Opiekuna, wzywam nieba, aby mię dziś jakim cudem od nieuniknionej zachowało polemiki. Szermujące w dziennikach pod postacią drukowanych znaczków języki, na podobieństwo obnażonych mieczów, budzą to lęk, to znowu chęć obrony, to wygodne uczucie horacyjuszowskiej cnoty, to gorączkowy zapał Don Kichot'a lub męstwo Bajarda... Idąc za temi (miejscowemi) natchnieniami, jako wasz korespondent zaczepiony dwukrotnie, musiałbym albo zamilknąć... i wtedy miły wam *Symplicyjusz* skryłby się nazawsze *ku powszechnemu żalowi*, między kieleckie grobowce, albo (zgroza pomyśleć!) wydobyłbym z pochwy miecz swój zardzewiały.... i natenczas usłyszelibyście może okrzyk strasznej krucyjaty, lub conajmniej, gromowo-mentorskie, z powodu nieuznania zasług mych, wielkich kazanie. Szczęściem, ku uniknieniu zarówno niebezpieczeństwa apatyi, jak nierozsądnych pod chmurnym znamieniem dąsów, chwytam czymprędzej za niesiony przez was sztandar *błogosławionego środka* i w stoickim spokoju niczym niezamąconego ducha, następne sam sobie zadaję pytanie. *Dlaczego* zdaniem korespondenta „Wieku” (patrz Nr. 139) wszystkie inne z Kielc korespondencyje „*niewielki* zaszczyt przynoszą autorom i dziennikom” a natomiast jego własna, jak się domyślać należy, *wielki* zaszczyt i jemu i Wiekowi przynosi? Czy *dlatego* tylko, że p. M. G. jest pan M. G. a Wiek jest Wiek?... Jak na nasze czasy byłby to motyw trochę zasłaby; tymbardziej, że jeśli inne korespondencyje „nie grzeszą głębokością poglądów, ani dokładnością faktów” i „są najczęściej stronnicze”, to i w korespondencyi p. M. G. (per Bacco!— któż pod słońcem jest bez zmazy!) każdy rzeczy świadomy czytelnik ani z zupełną bezstronnością i pożądaną *głębią* poglądów, ani z idealną dokładnością danych się nie spotka. Utrzymuje np. między innemi pan M. G. jakobym w mej korespondencyi napisał, „że w Kielcach było ciemno i głucho, dopóki nie przybyli tu na różne posady młodzi wychowańcy uniw. warsz. *z wydziału prawnego*.” Gdzież tu sumienność i dokładność, którą niby korespondent Wieku celuje? gdzieżem ja to napisał? Jam tylko nadmienił, że młodzi *wogóle* (o prawnikach nie było mowy) okazali się dobremi przewodnikami ruchu umysłowego, jaki przed kilku laty powstał w Warszawie; skąd bynajmniej nie wynika, aby przedtym i potym nie było zgoła w Kielcach, krom wychowańców uniwersytetu, zdrowo myślących i czynnych ludzi, lub żeby te epitety można było do wszystkich młodych bez ograniczenia stosować. Że jednak miałem za sobą niejaką słuszność, dowodzi tego między innemi, obok zaznaczonych w mej korespondencyi *rzeczywistych usiłowań* niektórych jednostek, i zamknięta w Pamiętniku Kieleckim za r. 1874 kronikarska pod odpowiedniemi datami wiadomość o odbywanych tu od r. 1868 odczytach publicznych. Co nas jednak najbardziej w korespondencyi „Wieku” i dziwi i bawi, to pewność, z jaką autor przypisuje list nasz poprzedni jednemu z osiadłych tu warszawskich prawników, i uważając bezinteresowną notatkę za reklamę *pro domo sua*, buduje na złudnej podstawie zgoła nieinteresującą o rudymentarnym pokroju przemowę do zarozumialców.

---

* * *

Piszą do nas z Sieradza [1]) iż w d. 10 i 31 b. m. w tamecznej sali teatralnej dane będą bale publiczne celem zasilenia funduszów na dalsze utrzymanie zakładów dobroczynnych, któremi gorliwie zajmuje się miejscowa Rada Opiekuńcza.

W mieście, o którym mowa, od niedawnego czasu funkcyjonuje fabryka narzędzi rolniczych p. Krzyżanowskiego, zdolnego technika. W fabryce téj pracuje kilkunastu ludzi. Budowla, chociaż jeszcze niezupełnie ukończona—podług rysunku z teki p. Or. zasłużonego budowniczego powiatu przedstawia się bardzo dobrze pod względem architektonicznym.

Zeszłoroczne sieradzkie odczyty, na których między innemi zabierali głos pp. Edward Prądzyński i Adam Nęcki bardzo dobrze były przez publiczność przyjmowane, warto by je więc wskrzesić i w roku bieżącym.

* *

Dowiadujemy się z *Kuryjera Codziennego* iż towarzystwo dramatyczne p. Trapszy wyjeżdża z Kalisza do Łomży,—truppa p. Okońskiego bawi obecnie w Krasnymstawie, a towarzystwo mniej dotąd znanego p. Dębskiego daje podczas karnawału przedstawienia w Kielcach.

* * *

Donosiliśmy już w zeszłym numerze Opiekuna, iż w m. Kołomyi (na Pokuciu) w Galicyi zaczęło wychodzić staraniem towarzystwa sadowniczo-jedwabniczego pismo poświęcone pszczolnictwu p. t. „Gazeta pszczolnicza“. Miasto prowincyjonalne posiadać więc będzie organ specyjalny, a oile nam wiadomo, w Kołomyi wychodzi także pismo treści ogólno literackiéj p. t. „Jutrzenka“.

* * *

Mówiliśmy powyżéj o leniwym postępie niektórych stowarzyszeń; tu jakby w przeciwstawieniu zanotować musimy fakt prawdziwie pocieszającéj doniosłości. Rzemieślnicy pracujący w warsztatach mechanicznych drogi żelaznéj warsz. wied. założyli z dozwolenia władzy *Kassę zabezpieczenia*. Kassa ta prócz dogodności zapewnionych, istniejącą dotąd kassą wsparcia, zapewnia stowarzyszonym oraz ich wdowom i dzieciom dożywotne płace alimentarne.

* * *

— *Julijan Ochorowicz* ogłosił drukiem (Lipsk, Metzger i Wittig, 1874) odczyt swój publiczny, miany w Warszawie: „O zasadniczych sprzecznościach, na których się wspiera cała nasza wiedza o wszechświecie.” Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa. Cena kop. 30.

— P. Ludwik Merzbach w Poznaniu wydał: Część drugą, czyli tom III i IV *B. Bolesławity* obrazów współczesnych p. n. *Zagadki*, tudzież z niewydanych dotąd rękopismów *Julijana Ursyna Niemcewicza* „Podróż do Wielkopolski i Szląska w 1821 r.” Z rękopismu Biblijoteki Kórnickiéj wydał pan Z... C... „Pamiętnik podróży, odbytéj r. 1661—3 po Austryi, Włoszech i Francyi.”—Nakładem A. J. O. Rogosza we Lwowie wyszła rozprawa p. *Romualda Starkla* p. n. „Dział szkolny na wystawie powszechnéj w Wiedniu 1873 r.”

— W Krakowie od 1 Października zaczęło wychodzić pismo poświęcone wyłącznie modom p. t. „Nowy dziennik mód;“ redaktorem jest J. Wildt, wydawcą zaś F. Hösik tutejszy księgarz.

Cena roczna w Warszawie z rycinami kolorowanemi 4 rs.

---

[1]) List p. Maksymilijana Kempińskiego.

Przenikliwszym już nieco jest naiwny korespondent Kuryjera Codziennego (Nr. 266) p. X. Przemawiając w tym samym duchu, nie posądza nas on, jak się zdaje, o taką stronność; obdarza tylko łaskawie przydomkiem *Filipa z konopi* (!) za to, że *nie proszeni* (!), ośmieliliśmy się wypowiedzieć młodym pracownikom skromne słowo braterskiej zachęty. A jestto treść zdania wynikowego, do którego p. X. całą swą korespondencyją sprowadza... Niechże mu za odpowiedź służy dla braku czasu i miejsca pobłażliwe z naszej strony milczenie....

Omyleni doszłym do nas pośrednio odgłosem zamiarów, które niebawem zastąpione zostały nowemi, donosiliśmy wam w przeszłej korespondencyi, że towarzystwo tutejszych amatorów sceny ma na korzyść ubogiej, szkolnej młodzieży przedstawić znaną farsę p.t. Skarbonka." Tymczasem stało się inaczej. Na dochód niezamożnych uczniów gimnazyjum dano pod koniec listopada bal, który podobno powiódł się jako przedsiębiorstwo dobroczynne, nie powiódł, jako zabawa. Teatr zaś amatorski, uorganizowany celem pomnożenia funduszów tutejszej ochronki, przedstawił nam (7-go Grudnia b. r.) „Stacyją pocztową w Hulczy (Korzeniowskiego)", „Dwu głuchych" i „Folwark Primerose." Pierwsza z tych sztuczek wyszła stosunkowo najgorzej; ostatnia natomiast—najlepiej. Jako komicy *in crudo*, złożyli, mimo nieuniknionych usterek, dowody pewnych zdolności: pani F. R. w roli żydówki (Stacyja), oraz pp. E. Z. w roli Bonifacego (Dwu głuchych) i S. S. w roli Demoisau (tamże); gdy panna A. M. wywołała niejedno przyjemne wrażenie swym skromnym wprawdzie, lecz wiele obiecującym talentem wokalnym. Całość przedstawienia wyszła harmonijnie, i nawet oceniana ze stanowiska poważnej dramatyki, daleką była od zupełnej parodyi. Cel więc został osiągnięty: widzowie opuścili salkę zadowoleni, a ochronka bogate zebrała plony. Słyszeliśmy, że amatorowie, zachęceni tą ostatnią udatną próbą, zamierzają pod nowym zapewne dobroczynnym godłem, przypomnieć się znów wkrótce publiczności, jeśli, jak głoszą dość pewne i określone wieści, nie zastąpi ich w tym względzie mające niebawem zjechać towarzystwo artystów wędrownych pod dyrekcyją p. Dębskiego.

Straż ogniowa, o której donosiłem, rozwija się, jak na młody organizm, dosyć szczęśliwie. Obywatele różnego wieku i stanu, przebrani jednostajnie w odpowiednie mundury, poddając się zgodnie artykułom przyjętej ustawy i kierunkowi instruktora, zwierzchnika, przedstawiają dotąd w swoim zakresie wzór godny naśladowania. Słyszeliśmy, iż przed kilkunastu dniami młode to towarzystwo doświadczyło już sił swoich, gasząc szybko niewielki pożar, wynikły w skutek zapalenia się sadzy. Bodaj obudzony w danym kierunku chwilowy zapał, dziwnie dziś jeszcze odbijający od zgniłego tła powszechnej apatyi, przetrwał swą pierwszą, porankową dobę, utrwalił się i na inne społecznych trudów przeniósł gałęzie...

Musicie już mieć zapewne pod ręką wytłoczony w Warszawie „Pamiętnik Kielecki na rok 1874." Duch, jaki z niego wieje, pozwoli wam określić barwę pauujących przekonań, ocenić przeważny kierunek dążeń mieszkańców miasteczka. W ciżbie umieszczonych tam artykułów i artykulików wyróżniają się na szali ogólnego pożytku: niezbyt logicznie sklecony, ale bogaty w szczegóły, kronikarsko-statystyczny regiestr p. Sienickiego, oraz dosyć zręcznym językiem spisane, lubo zatrącające nieco arlekineryją, trafne uwagi p. J. L. Kaczkowskiego o handlu, przemyśle i życiu towarzyskim w Kielcach. Godne są też uznania pracowite, choć suche i regiestrowe artykuły p. H. Święcickiego, traktujące o bogactwach kopalnych gubernii kieleckiej. Reszta jest albo kompilacyją, albo zgoła nieodpowiednim zadaniu wydawnictwa archeologicznym balastem, odznaczającym się niekiedy (jak np. artykuł o „kościele N. Maryi Panny w Kielcach") tak grubym, *ciesielskim* językiem, że mimo najlepszych chęci niepodobna czytelnikowi dobić z autorem do upragnionego brzegu... Bądźcobądź „lepszy" „taki rydz" niż przerażające *nihilum* w postaci grobowego spokoju i bezwarunkowej na wszystko obojętności....

Na dopełnienie zarówno tej krótkiej oceny Pamiętnika, jak i wiadomości w nim zamkniętych nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia kilku słów o tutejszym systemie handlowym i o rozwoju życia towarzyskiego w Kielcach. Oile miałem sposobności bezpośrednio i pośrednio sprawdzić, cały handel kielecki jest w gruncie opartym na wyzyskiwaniu kramarstwem. „Drzeć łyka póki się da" oto godło tutejszych kramarzy. Mniej jeszcze niebezpiecznemi są ci, którzy na zdrowy, niepodrobiony towar stałe, choć wygórowane nakładają ceny. Lecz ich przeciwważniki, rzekomi oswobodziciele handlu spod ucisku monopolu, cóżto za wilki w baraniej skórze! Przypuśćmy, że cię, łaskawy czytelniku, złe jakie losy nad błotną osadziły Silnicą (brudny strumyk pod Kielcami szerokości kilkunastu cali) i zamieszkać tu, na jakiś czas kazały. Z biegiem czasu odkrywają się naturalnie coraz to nowe braki w rzeczach, bez których trudno się obyć, tak, że choćbyś był nawet uczniem Dyjogienesa z Synopy musisz coprędzej zaradzić złemu. Wchodzisz więc w tym celu do sklepu, który wyraźniej od innych wpada ci w oko; pokazują towar, zaręczając, że bezpośrednio z *zagranicy* sprowadzony; nie należysz wprawdzie do naiwnych, wierzących naślepo w *bezpośrednią zagranicę*, ale bajeczna cena przewyższająca o wiele warszawską, wypędza cię natychmiast niebawem. U drzwi na szczęście spotykasz znajomego; mówisz mu o swym kłopocie; on się dziwi twej niedomyślności i wskazuje inny jakiś w tym rodzaju przybytek „pod różą" czy „bukietem." Idziesz za wskazówką, oglądasz i kupujesz, bo towar zdaje się być dobrym, a po pewnym targu cena okazała się wcale umiarkowaną. Nie ciesz się jednak zawcześnie; jeśli to był zmierzch, lub jeśli kupując dość uważnym nie byłeś, to już przy wieczornym świetle lub jutrzejszym świcie, rzecz nabyta okaże się starą lub bezużyteczną; w każdym zaś innym razie rzucisz ją w błoto za kilka tygodni.

Takie wyrobiłem sobie ogólne, lecz oparte na wielu próbach zdanie o handlu kieleckim; są tu naturalnie wyjątki, lecz oile wiadomo bardzo nieliczne. Przed chwilą np. czytaliśmy na rogach ulic ogłoszenie jednego z kupców, gdzie między innemi powiedziano: „sprzedają się *na gwiazdkę resztki* towarów po cenie zniżonej." Ależ to mityczny Feniks między kupcami. Cóż to za otwartość! Co za szekspirowska (w literaturze ogłoszeń kupieckich) śmiałość wyrażeń! Pomyślcie bo proszę! przyznaje się, że „resztki" „na gwiazdkę" sprzedaje!.. jakby niemógł tych resztek świeżym nazwać towarem! Trzeba na to szaleńca! lub może—dodamy ciszej—roztropnego i rzetelnego człowieka.

Niemożemy tu, dla braku miejsca, zaczepionej kwestyi dalej rozwijać, i zostawiamy sobie tylko wolną drogę, do przyszłych nad nią pogawędek. Aby jednak dać wyobrażenie czytelnikom o smutnych warunkach bytu każdej samotnej w Kielcach jednostki, dodamy, że zbywa nam tu np. na dobrej, o umiarkowanych cenach restauracyi. Najpopularniejsza, uczęszczana tłumnie przez urzędników i innych ludzi średniej w Kielcach zamożności, jest poprostu brudną i ciasną garkuchnią; w innej znów nie uwzględniono zgoła potrzeby rychłej i pilnej usługi. Słowem, Kielce pod tym względem stoją niemal na stanowisku lichej mieściny z ubiegłego stulecia, co dziwnie jakoś odbija od gastronomicznych wygód, najbliższego Kielcom gubernijalnego miasta Radomia. Wiele też, dla dopełnienia zaczętego obrazu, możnaby powiedzieć o niskim *stopniu rozwoju* sztuki budowniczej w Kielcach, a stąd pochodzącej niedogodności i drożyźnie mieszkań... Lecz o tym później. Tymczasem ważniejsza sprawa leży mi na sercu, którą wam jeszcze przed smutnym *adio* wypowiedzieć muszę.

Życie społeczne w Kielcach jest na pierwotnym niemal stopniu rozwoju. Cóż chcesz, powiecie, Kielce nie mają ani teatru, ani gazety miejscowej, ani żadnego zgoła ogniska, żadnego zbiornika dla krwi swego organizmu. Łączy ich wprawdzie napozór klub, knajpa i karnawałowe baliki. Lecz, pierwszy z tych mniemanych węzłów jest poprostu wista lub gieryłasza przybytkiem, a o dwu ostatnich to i wspominać niewarto, tak są wątłe i ulotne. Sic! słuszność tymczasem po waszej stronie; dodamy więc tylko, że wszelkie inne węzły są zgoła przypadkowe i problematyczne, a reszta spoczywa w zaklętym kręgu leniwych marzeń... Ale może, nie tworząc społecznej całości, łączymy się czynnie w ściśle, małe kółka, w pewne stronnictwa i koteryje? Pilnie pytałem, i oto co mi odpowiadano: „O! mości dobrodzieju, są u nas rozliczne a czynne koteryje; jest np. koteryja dewotek, karciarzy, winiarzy etc.; wszystkie one odbywają pewne posiedzenia, a nawet poza tarczą właściwych *zasad* ścierają się czasem wzajemnie." Porównałbym tutejszy ustrój towarzyski do systemu niezależnych kółek i kółeczek starego Ptolomeusza, ale... nie chcę was wbłąd wprowadzać. Ściśle biorąc, tu nie ma kółek i kółeczek, tu są tylko, poza przypadkowemi lub chorobliwemi aglomeratami, samotne punkty i punkciki. Młodzi wychowańcy uniwersytetu, mimo wielu dobrych chęci i porywów, nie stanowią pod tym względem wyjątku i wogóle asymilują się...

Kiedy już wpadłem na tor smutnych pogawędek o życiu towarzyskim w Kielcach, muszę wam na zakończenie donieść o drobnym fakcie, który choć w maleńkiej cząstce ograniczy powyższy mój pogląd na niski stopień uspołecznienia tutejszej ludności. Z powodu przypadającej na dzień Sylwestra b. r. 25-letniej rocznicy zaślubin tutejszego księgarza p. Możdżeńskiego, niektórzy z jego dawniejszych znajomych, za spólnym porozumieniem się, przygotowali bardzo piękne i kosztowne album ze stosownym na nagłówku napisem: „od małego kółka szczerych przyjaciół." Album to, które nam przed chwilą łaskawie okazywano, zdobne w wyroby warszawskiego zakładu Kostki i Mulerta, zarówno pod względem fotograficznym, jak introligatorskim, nic zgoła nie przedstawia do życzenia. Nadmieniamy przytym, dla ułatwienia kombinacyi wyobrażeń korespondentowi Kur. Codz., p. X. i jemu podobnym, że notując ten drobny szczegół, jesteśmy znów na nieszczęście „Filipem z konopi", wcale nas bowiem o to *nie proszono*...

Sympl.



Zarysy badań krytycznych nad dziejami, historyjografiją i mitologiją do wieku XV, wydał *E. Świeżawski*. Oddział II—król Bolesław II Szczodry i biskup Stanisław, przedstawieni w zmieniającym się świetle opinij kronikarskich do wieku XV-go. Warszawa, 1873.

Autor należy do szczupłego grona młodych badaczów polskiej historyi. Przemawiając w imię postępu, w imię pożytku bieżącej chwili, ogrzany szczerą miłością dziejowej prawdy, nie błądzi on po bezdrożach, nie stawia kruchych zamków na lodzie, słowem, nie buduje na podstawie piérwszychlepszych wskazówek, zbyt śmiałych, pesymizmem lub optymizmem tchnących hipotez: niedowierza powagom, a śledząc prawdę u źródeł, zdziera umiejętnie z jej świętego oblicza kłamaną zasłonę mitycznych ubarwień i z chłodem anatoma stosuje wszędzie do dziejowych świadectw pozytywną metodę badania.

Jakkolwiek nie całość, lecz dopiero część pracy o historycznym sporze Bolesława z biskupem Stanisławem, wyszła na widok publiczny, *to* wszakże, *co* ogłoszono już drukiem, stanowi odrębny, zaokrąglony dział rozprawy i na krótką naszę ocenę ze wszech miar zasługuje. Piérwszy ten zeszyt, z powodu przydługiego nieco wstępu i szczegółowej krytyki traktującej o tym samym przedmiocie, a wydanej wr. 1865—rozprawy pana Dzieduszyckiego, nosi na sobie już na piérwszy rzut oka charakter przeważnie polemiczny. Polemika jednak służy autorowi tylko za konieczny punkt wyjścia, za nieunikniony początek samodzielnej pracy, którego bezpośrednim rozwinięciem jest sumiennie opracowany rozdział p. n.: „Antyteza pogaństwa i chrześcijaństwa." Nie bierzemy za złe historykowi, że 9 kart w swej rozprawie poświęcił ocenie wyszłego przed siedmią laty utworu pana Dz.; nauka bowiem badająca przeszłość, jest zbyt ważną dziedziną ludzkiej pracy, aby w niej jakiekolwiek samozwańczo wybrane stronnictwo, pod sztandarem dziedzicznych lub osobistych upodobań bezkarnie gospodarować mogło. W ocenie tej wykazuje autor jasnemi jak na dłoni dowodami, że p. Dz. nietylko w swej pracy nie uwzględnił zmieniającego się z postępem czasu ducha dziejowych źródeł, ale nadto, najdowolniej pośród nich gospodarując, własnym je zabarwił poglądem.

Główną tezą, jakiej p. Świeżawski w *pośredniej* zgodzie z Naruszewiczem, Lelewelem, Szmitem, Maciejowskim i innemi, a w bliższej z Zygmuntem Komarnickim [1]) dowodzi, jest zarówno na Gallu, jak i na Mateuszu (Wincentym Kadłubku), oparte twierdzenie, że w sporze Bolesława Śmiałego ze Szczepanowskim nietylko moralne i kościelne, lecz i kastowo-polityczne względy w grę bojową wchodziły. Jestto, zdaniem autora jeden z aktów długoletniej w piastowskiej epoce walki między monarchą i ludem z jednej, a możnowładztwem i kościołem z drugiej strony. Wobec takiego na rzeczy poglądu, który zresztą autor w dalszym ciągu pracy pod zaczętym już rozdziałem: „Król i możnowładztwo" obiecuje rozwinąć, peryjod dziejowy od śmierci Chrobrego do wygnania Szczodrego niesłychanej w oczach naszych nabiera wagi...

Najlepszą, jak się zdaje, najsamodzielniejszą gałęzią, pomieszczonych w wydanym zeszycie pozytywnych rozumowań, jest wykład legiend, na tle historycznego sporu osnutych. Legiendy te, jak walka świętego z *uprzywilejowaną* klaczą królewską, ćwiertowanie ciała, sąd piotrowiński i inne, z jednej strony opierają się na gruncie przedchrześcijańskiej starożytności, z drugiej—w XIII dopiero poczęte stuleciu, w kolei lat przerabiane i uzupełniane, dochodzą nareszcie do ostatecznego skrystalizowania w kronice Długosza.

Jedyną wadą, jakąbyśmy dopatrzyć mogli w tej ze wszech miar sumiennej rozprawie jest, obok naciąganych nieco krytycznych odnośnie do legiendy piotrowińskiej wywodów, zbyteczna miejscami treściwość języka, a ztąd i nie zupełna jasność wykładu. Bądźcobądź pan S. wróży nam wytrawnego badacza dziejów; pracę jego witamy z radością, niecierpliwie oczekując dalszego ciągu zapowiedzianych studyjów. *A. G. B.*

[1]) Tłumacz Dytmara i Galla, autor książki p. n.: „Ś. Stanisław i Bolesław Śmiały—antyteza dziejowa"—Drezno 1870 r.

Rozmaitości.

— Dr. Rothmund w Mnichowie prof. chirurgii, ogłosił w czasopiśmie „Aerztliches Intelligenz—Blatt," kilka uwag bardzo godnych uwzględnienia o odnowionéj niedawno módzie wysokich obcasów i korków u trzewików kobiecych, skutkiem używania których cała oś podłużna ciała nabiera kierunku nieprawidłowego. Pomijamy już skutki zmienionego położenia najważniejszych organów, które z pewnością nie są bez wpływu na przebieg epok, mających najwyższe znaczenie w życiu kobiet zamężnych; pomijamy ten wzgląd ostateczny, który wyraźnie powiada, że nie jest to pięknie, jeśli za pomocą obcasów i korków małe osóbki podwyższają się, wszystkie zaś w ogóle psują naturalną, jedynie prawdziwą, a więc jedynie piękną proporcyją swych rozmiarów. Nie możemy jednak pominąć téj okoliczności, że według doświadczeń D-ra Rothmunda, dziwaczne i nienaturalne położenie stopy usposabia wielce do nadwichnień i zwichnień w stawie stopowym. Znanym mu jest w szczególności przypadek powstałego w ten sposób zwichnienia w stawie skokowym (Sprunggelenk), które pomimo stosownego leczenia, zatrzymało chorą przez trzy miesiące w łóżku. Nierównie częściéj, ma się rozumieć, powstają tu zapalenia ścięgien i pochewek ścięgnowych, jakoteż różne inne skutki zadraźnienia miejscowego. Nareszcie nie ulega żadnéj wątpliwości, że z formy tak niestosownéj obuwia wynikają także nagniotki, ten bolesny towar zbytkowy, przynoszący korzyść tylko tak zwanym operatorom nagniotkowym. Ostatecznie więc obowiązkiem jest lekarzy przestrzegać płeć piękną, aby tą modą niedorzeczną nie szpeciły się, a co ważniejsza, nie narażały się na kalectwo.

— *Z końcem* r. z. wychodziło w Pradze Czeskiéj ogółem 78 czasopism, w téj liczbie 8 naukowych i literackich, 13 politycznych, 42 fachowych a 15 ludowych. Z czasopism tych założone zostały, 2 przed rokiem 1850, 9 w dziewięcioleciu następnym, 42 w czasie od 1870—1859—a 25 w latach 1870—1871.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.